

Igor Czernecki

Gdzie są Polski Soros i Polski Barta?

Polscy przedsiębiorcy coraz częściej uważają filantropię za istotny element swojego życiorysu. Jest wśród nich mała, lecz rosnąca grupa osób mających ambicję, by przyczynić się do poprawy naszego życia publicznego. Finansując kampanie profrekwencyjne przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi, przykładając się do wygranej ówczesnej opozycji, ludzie ci zasmakowali sprawstwa.

Ale jak tu wspierać demokrację, gdy demokracja wygrała? W dodatku nowa władza trochę zawodzi, o tempie realizacji stu obietnic szkoda gadać, a premier uderza w populistyczne tony. W środowisku organizacji społecznych rozczarowanie, wśród filantropów zakłopotanie. Nie ma jasności co do kierunku wspólnych działań.

A tymczasem w wielkim świecie dużo o polityce i pieniądzu.

300 kampanii dla Le Pen

Każdego dnia przeczytać możemy coś o Elonie Musku, który wydał 250 milionów dolarów, wspierając kandydaturę Donalda Trumpa. Licytował ostro i wygrał.

Ciekawsze są przykłady dyskretne, rozłożone w czasie. Rodzina Kochów od dwóch pokoleń systematycznie wspiera ruchy prawicowe. Między 2004 a 2019 stworzone przez braci Koch konsorcjum konserwatywnych filantropów przekazało setki milionów dolarów na sieć think tanków, fundacji, oddolnych ruchów społecznych, katedr uniwersyteckich, stowarzyszeń prawniczych i konserwatywnych polityków. Wszystko to łączy cel: radykalne ograniczenie kompetencji państwa federalnego i obniżenie podatków. Członkowie wpłacają coroczne składki (minimum 100 tys. dol., często kwoty dużo wyższe) do wysoce scentralizowanej organizacji, ze strategią rozpisaną na dekady.

Z kolei kilka lat temu Barre Seid, biznesmen z Chicago, przekazał 1,6 miliarda dolarów Stowarzyszeniu Federalistów. Organizacja ta, prowadzona przez enigmatycznego Leonarda Leo, stanowi kuźnię kadr konserwatywnych sędziów – kandydatów do sądów stanowych, federalnych i Sądu Najwyższego.

Takie rzeczy nie dzieją się tylko za Atlantykiem. W lipcu „Le Monde” opisał przykład francuskiego miliardera Pierre’a-Edouarda Stérina, który w ramach planu rozpisanego na dziesięć lat przeznaczył 150 milionów euro na „ideologiczne, wyborcze i polityczne zwycięstwo” francuskiej prawicy. Plan „Perykles” zakłada, między innymi, zidentyfikowanie 300 miasteczek we Francji, w których wybory samorządowe w 2026 roku wygrać mogą członkowie Zgromadzenia Narodowego, partii Marine Le Pen. Już działa Instytut Formacji Politycznej, w którym szkolą się przyszli kandydaci. W ramach „Peryklesa” przewidziano pieniądze na finansowanie tych 300 kampanii. Powstał też think tank, który ma wpływać na debatę publiczną i wspierać konserwatywnych sędziów.

Niepokojące, ale też imponujące, prawda? Dlaczego nasza strona tak nie robi? - nasuwa się pytanie. Jest to pytanie tym bardziej zasadne, że równocześnie wyczerpują się sprawdzone źródła finansowania społeczeństwa obywatelskiego w regionie. W 2023 r. OSF (fundacja założona przez George’a Sorosa) zredukowała w Europie budżet i kadry, zaś w zeszłym tygodniu Donald Trump rozkazał zamrozić amerykańskie pieniądze przeznaczone na pomoc zagraniczną, z których korzystały polskie NGOsy.

Moim zdaniem inercja wynika z błędnej definicji tego, o co nam chodzi. O demokrację - powiadamy. Ale czy mamy prawo wykluczać wyborców PiS czy Konfederacji spod tej definicji? Zabieg pod tytułem: „jesteś demokratą, jeśli głosujesz tak jak my, inaczej jesteś faszystą, pożytecznym idiotą, agentem Putina, człowiekiem o duszy autorytarnej” - brzmi jak passus z przewodnika politycznego populistów. Poza tym wygrana „demokratów” demobilizuje, czego jesteśmy obecnie świadkami. Pozostaje czekać, aż sondaże znowu zaczną dołować, by w ostatniej chwili zasypać pieniędzmi organizacje społeczne w wątpliwej nadziei, że zmobilizuje się „naszych”, a zniechęci „tamtych”.

Liberalizm, ale nie neo

Dopóki żyjemy w kraju, w którym władza pokojowo przechodzi z rąk do rąk zgodnie z wolą wyborców, definiowanie się mianem „demokratów” jest zabiegiem populistycznym. I jak każdy taki zabieg niczego nie rozjaśnia, za to skutecznie dzieli społeczeństwo. Demokracja to władza większości. Żaden liczący się polityk w Polsce nie odrzuca tej definicji określającej istotę ustroju. PiS grało brzydko, uwłaszczając swoich członków na publicznych zasobach, korumpując telewizję publiczną i wydając miliardy z naszych pieniędzy na paskudną propagandę i kampanie wyborcze. Ale zmanipulowani przez media

wyborcy i tyrania większości, której się obawialiśmy, to fenomen demokratyczny, czego uczy Alexis de Tocqueville.

Mówienie o sobie per „demokraci” to także objaw intelektualnego lenistwa. Bracia Koch czy Pierre Stérin nie mają problemu, by się ideologicznie określić – to samozwańczy konserwatyści. Ci pierwsi konserwatywny światopogląd rozumieją w duchu libertariańskim; drugiemu zaś chodzi o chrześcijańską Europę i wolnorynkową gospodarkę. Jasność celu pozwala im obstawiać odpowiednie konie – sędziów czy polityków, którzy taką wizję przekształcają w rzeczywistość.

A o co nam chodzi, gdy mówimy, że bronimy w Polsce demokracji? Niektórym z nas chodzi o sprawne i niezależne sądy, o niezawisłych sędziów. O media publiczne, które dostarczają informacji, a nie uprawiają propagandę. Chodzi o wolność od arbitralnej przemocy ze strony władzy – fizycznej, psychicznej, ekonomicznej. Do tego potrzebne są: trójpodział władzy, niezależny bank centralny oraz silne, pluralistyczne, wolne media.

Nie są to cechy charakterystyczne po prostu dla demokracji. To cechy liberalizmu. Benjamin Franklin mawiał, że demokracja to taki ustrój, w którym dwa wilki i owca głosują nad tym, co zjeść na kolację. O prawa mniejszości dbają instytucje liberalnego państwa. Liberalizm wymaga szacunku dla odmiennych poglądów i ustanowienia granic politycznego sporu tam, gdzie w dyskusji gubi się nadrzędna wartość, jaką jest pokojowe współżycie w społeczeństwie. Liberalizm domaga się czynnego przeciwdziałania nierównościom społecznym, nie w imię idei równości, ale w imię równych szans. Z tego powodu liberał sprzeciwia się np. pełzającej prywatyzacji edukacji czy służby zdrowia.

Jednak niechętnie określamy się mianem liberałów. Powód jest, jak sądzę, prozaiczny. W Europie „liberalizm” kojarzy się z polityką neoliberalną – z niskimi podatkami, niewidocznym państwem, ze znoszeniem barier handlowych, bezkrytyczną globalizacją. (Oczywiście podobieństwo nazw nie jest przypadkowe i liberalizm nie jest tu bez winy; ale to temat na inny artykuł).

Zbliżone do neoliberalizmu poglądy ma Arkadiusz Muś, przedsiębiorca finansujący m.in. Forum Obywatelskiego Rozwoju profesora Leszka Balcerowicza czy (przed wyborami) Platformę Obywatelską. Mam szacunek dla pana Musia za odwagę, którą wykazał, otwarcie wspierając opozycję, gdy PiS dokręcało śrubę. Ale neoliberalizm nie jest odpowiedzią na wyzwania, z którymi się mierzymy, a już na pewno nie jest platformą do wygrywania wyborów. Nie dziwi, że większość ludzi centrum nie chce się z tym nurtem utożsamiać.

Czech Barta udaremnia czexit

Alternatywę oferują nasi sąsiedzi z Czech. Jan Barta to czeski Wunderkind, rocznik 1985 - genialny inwestor, miliarder i filantrop myślący systemowo. Jego dewiza jest prosta: jeśli chcemy żyć w liberalnej demokracji, musimy zadbać o to, żeby liberalna demokracja nie zawodziła wyborców. Aby wyłapywać deficyt dobra publicznego, Barta używa tych samych analitycznych narzędzi, za których pomocą inwestuje.

Kilka lat temu w Czechach zaczęto poważnie traktować ideę czexitu. Sondaże od lat wskazywały, że ewentualne referendum mogłoby wygrać zwolennicy wyjścia z Unii Europejskiej. Antyunijne nastroje najsilniejsze były na wsi, choć korzystała ona z ogromnych dotacji z Brukseli. Problem tkwił między innymi w złej jakości gleby, wyjątkowej za czasów pegieerów. Czescy rolnicy przegrywali w wolnorynkowej konkurencji, chociażby z Polską. Barta nagłośnił problem i jego znaczenie polityczne oraz zaczął finansować program rewitalizacji. Temat podchwyciła prasa, a rząd w końcu się tym zajął.

O politycznej filantropii Barty zrobiło się głośno w czasie demonstracji przeciwko rządowi Andreja Babiša w 2018 roku. Ich organizator, stowarzyszenie Milion chvilek pro demokracii zdefiniowało rozdrobnienie partii opozycyjnych jako główny problem i wezwało do zjednoczenia przed wyborami parlamentarnymi. Barta z kilkoma innymi czeskimi filantropami zaoferowali 5 mln koron wypłacanych w dwóch ratach każdej partii, która apelu posłucha. W Czechach bowiem obywatel może przeznaczyć do 3 mln koron (równowartość 500 tys. zł) na partię polityczną w danym roku; w Polsce dozwolona kwota to 64,5 tys. zł.

Wkrótce po tym doświadczeniu ci sami przedsiębiorcy powołali Spolek pro podporu liberální demokracie ČR (Stowarzyszenie na rzecz Liberalnej Demokracji w Republice Czeskiej). Trzy lata przed wyborami prezydenckimi 2023 stowarzyszenie zleciło badanie, by wyłonić kandydata z najmniejszym elektoratem negatywnym, który miałby szanse w starciu z coraz mniej liberalnym Andrejem Babišem. Wypadło na mało znanego, prozachodniego generała NATO Petra Pavla. Założono fundację i zatrudniono sztab profesjonalistów w celu zwiększenia rozpoznawalności Pavla. Stratedzy wykorzystali pandemię covidu, by stworzyć postać męża stanu dbającego o zdrowie rodaków. Po zniesieniu obostrzeń generał był już powszechnie w Czechach znany i Pavel wygrał z urzędującym premierem.

Tu dajesz na dobre państwo

Dziś Stowarzyszenie na rzecz Liberalnej Demokracji w Republice Czeskiej przekazuje miliony koron na wsparcie partii, które wyznają liberalne wartości. Osobiste preferencje finansujących inicjatywę są nieistotne. Pieniądze dostają wszystkie siły liberalne, które mogą powstrzymać powrót do władzy populistów lub zwycięstwo innych skrajnych ugrupowań.

Barta i jego współpracownicy zwrócili uwagę na to, że partiom trudno rekrutować młodych, utalentowanych i patriotycznie motywowanych członków. Stowarzyszenie zaczęło więc finansować partiom zajęcia prowadzone przez ekspertów od public relations i marketingu politycznego. W Czechach, podobnie jak w Polsce, prawa strona sprawniej posługuje się internetem. W odpowiedzi stowarzyszenie oferuje liberalnym partiom pieniądze na zatrudnienie doradców od komunikacji z wyborcami. By te pieniądze dostać, partie muszą pokazać szczegółowy plan, jak zamierzają sprofesjonalizować swoją strategię komunikacyjną. W podobnym celu Barta sprowadził niedawno do Pragi zespół odpowiedzialny za kampanię internetową zwycięskiej w Wielkiej Brytanii Partii Pracy.

Ktoś powie, że to plutokracja. Jednak plutokracja to – ściśle biorąc – rządy bogatych w interesie bogatych. Barta i jego koledzy wspierają natomiast partie, które mają w programach wzrost podatków dla najbogatszych. Marzeniem Barty jest odrodzenie czeskich socjaldemokratów. Owszem, państwo prawa umocowane w unijnych strukturach leży w jego finansowym interesie, ale to akurat jest w interesie większości z nas, zarówno w Czechach, jak i w Polsce. Poza tym stowarzyszenie nie faworyzuje konkretnych czeskich polityków, nie tworzą się kliki – wspierany jest każdy, kto wyznaje liberalne wartości.

Zgoda, nie musiało tak być – Czechy wydają się bardziej od Polski podatne na oligarchizację. Dlatego jestem zwolennikiem obowiązujących w naszym kraju limitów finansowania partii politycznych.

A jeśli ktoś w ogóle czułby się niekomfortowo, wspierając partie polityczne, to Barta i jego koledzy założyli też politycznie neutralny Aliance pro moderní stát (Sojusz na rzecz Nowoczesnego Państwa). Martin Vohánka, czeski filantrop i przedsiębiorca z interesami w Polsce, tłumaczy, że jego członkowie to grono szersze od Stowarzyszenia na rzecz Liberalnej Demokracji, a pieniądze tam zebrane przekazywane są organizacjom zmierzającym do modernizacji państwa, budowania jego odporności i dobrego zarządzania.

Innym przykładem czeskiej filantropii, która nie dotyczy partii politycznych, ale ma ogromne znaczenie dla jakości demokracji, jest założony w 2016 roku i sfinansowany przez wielu z tej samej grupy przedsiębiorców Nadační fond nezávislé žurnalistiky (Fundusz

na rzecz wolnego dziennikarstwa). Fundusz wspiera niezależne media nad Wełtawą i finansuje dziennikarskie startupy. Podobnie jak w przypadku stowarzyszenia, reguły postępowania są jasne, zapewnia Vaclav Muchna, przedsiębiorca i jeden z założycieli funduszu – wykluczają ingerencje w linię redakcyjną tytułów.

Pecunia olet

Czy bardziej sprawiedliwa byłaby demokracja, w której pieniądze nie miałyby wpływu na politykę? Oczywiście, że tak. Niestety Rosja i sprzymierzeni z nią miliarderzy nie podpiszą się pod tym postulatem. Nie podpisują się pod nim również populiści – w ich rękach publiczne pieniądze służą sprawie partyjnej. Zresztą prywatne media zawsze powiązane były z dużym kapitałem, a ustawowe ograniczenia w tej dziedzinie (patrz Lex TVN) nieuchronnie uderzają w pluralizm, co widać na Węgrzech. Dlatego Czesi mi imponują. Łapią byka za rogi.

W Polsce filantropi niechętnie opowiadają się po którejś ze stron politycznego konfliktu. Bezpieczniej jest zajmować się edukacją, sztuką czy zdrowiem. Było to boleśnie widoczne za rządów PiS. Mądrzy ludzie zwracają uwagę, że u Czechów narażenie się władzy jest mniej groźne biznesowo. Czeski rynek jest za mały, by zostać miliarderm, więc przedsiębiorca o takich ambicjach musi wpływać na wody międzynarodowe. Dzięki temu jego biznes jest mniej podatny na ingerencje władzy, gdy jest niezadowolona bądź żądna zemsty. Polscy miliarderzy fortuny budują w kraju i są bardziej zależni od licencji, koncesji i innych lewarów w rękach rządzących.

Ale w Polsce takich relacji boją się też politycy. W końcu to ośmiorniczki obaliły pierwszy rząd PO (gdyby ktoś nie pamiętał: skrycie nagrane rozmowy w restauracji, 2014 r.). Stara gwardia, polityczna i biznesowa, pamięta czasy, gdy przy okazji świątecznego śledzika czy w imieniny pierwszej damy panowie politycy siadali z panami biznesmenami przy cygarze i koniaku. Te czasy mamy już szczęśliwie za sobą. Ale w partiach pozostał lęk przed zarzutem o wpływ kapitału. Przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi sztaby ówczesnej opozycji odmawiały przyjęcia prawnie dozwolonych wpłat od niektórych przedsiębiorców, na przykład z branży deweloperskiej, z obawy przed tym, co z tą informacją zrobią kontrolowane przez PiS media.

Nie zrozumcie mnie źle - wolę tę wstrzeźliwość od zwyczajów z przeszłości. Ale Czesi pokazują, że te relacje mogą wyglądać inaczej, nawet w ramach obowiązujących w Polsce ograniczeń finansowania partii politycznych.

Prezydenta Franklin D. Roosevelt podzielił się w 1938 r. spostrzeżeniem, że zbyt wielu z tych, którzy powtarzają frazesy o „ratowaniu

demokracji”, tak naprawdę chce ratować jedynie to, co było. Demokracja musi dbać także o to, jak być powinno. (Too many of those who prate about saving democracy are really only interested in saving things as they were. Democracy should concern itself also with things as they ought to be). Ta uwaga dobrze oddaje ideową pustkę współczesnych polskich „demokratów”. Czas porzucić mylącą, demobilizującą i dzielącą retorykę o „wspieraniu demokracji”. Czas jasno się opowiedzieć. Czy jesteś za wartościami liberalnymi – za niezawisłymi sądami, za pluralizmem w mediach, za tolerancją dla poglądów odmiennych od swoich, za sprawiedliwym systemem gospodarczym i usługami publicznymi, bez których nie ma mowy o równym starcie?

Zgoda co do podstawowych wartości jest warunkiem koniecznym, bez którego nie zaplanujemy spójnych, długofalowych działań w celu wsparcia liberalnej demokracji w Polsce. Wystarczy na początek kilkoro śmiałych filantropów i filantropi. Możliwości jest dużo: od prywatnego funduszu na rzecz wolnych mediów, poprzez stowarzyszenie finansujące think tanki czy oddolne inicjatywy polityczne, które podzielają wartości liberalne. Może na wzór Czecha Luděka Sekyry trzeba sfinansować katedrę studiów humanistycznych, która będzie kuźnią przyszłych liberalnych elit politycznych? Czesi powinni nas inspirować, ale nie muszą być wzorem do naśladowania. Sami wypracujemy, jak pomóc polskiej liberalnej demokracji wywiązywać się z obietnic i nie ulegać wrogom.

Biorąc pod uwagę to, co dzieje się teraz w Rumunii czy Gruzji, we Francji czy w USA, a szczególnie w Ukrainie, dojdziemy do wniosku, że kończy się niewinna młodość polskiej filantropii. Apolityczne, krzepiące serca i wyręczające państwo inicjatywy społeczne już nie wystarczą. Czas wziąć odpowiedzialność za liberalną przyszłość naszego kraju. ●

Igor Czernecki - prezes Fundacji EFC, historyk idei, doktor nauk społecznych. Prowadzi zajęcia w Instytucie Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książki „Znaczenie religii dla demokracji u Alexisa de Tocqueville’a”. Współzałożyciel inicjatywy Philanthropy for Impact.